

## **PIOTR IZGARSZEW**

### **DLA MNIE WSZYSTKO ZACZĘŁO SIĘ PO 13 GRUDNIA**



**Piotr Izgarszew (ur. 1955 r.), w latach 1984–1987 trzykrotnie karany przez kolegia za działalność opozycyjną, a w 1987 r. skazany przez sąd na półtora roku pozbawienia wolności. Trzy razy wyrzucano go z pracy: w lipcu 1983 r. z Transbudu, w październiku 1983 r. z Awii i w kwietniu 1987 r. z Transportu Mięsnego. Dwukrotnie pobity. W latach 1989–1994 pracował w Regionie Mazowsze NSZZ „Solidarność”. Obecnie**

**główny specjalista do spraw poligrafii w Straży Miejskiej w Warszawie. Kończy studia na Wydziale Cybernetyki WAT.**

Przed stanem wojennym pracowałem w Transbudzie, w Oddziale IV przy alei Krakowskiej. Byłem zatrudniony jako specjalista do spraw reklamacji i rozliczeń, na samodzielnym stanowisku. Transbud był olbrzymim przedsiębiorstwem – składał się z 11 oddziałów i zatrudniał około 4 tys. osób. W moim oddziale pracowało około 70 osób. Przed stanem wojennym byłem delegatem na zjazd Transbudu-Warszawa, wiceprzewodniczącym rady pracowniczej w IV Oddziale i członkiem rady przedsiębiorstwa. Wówczas bardziej interesowały mnie rady pracownicze niż związki zawodowe. Chciałem zmieniać swój zakład pracy, a nie tylko stawiać żądania.

Jednocześnie na terenie zakładu rozprawdzałem książki z biblioteki Komisji Zakładowej. Namawiałem ludzi do lektury książek, na przykład o Wandzie Wasilewskiej, która nie była taka święta, jak się o niej mówiło. W tym czasie moja siostra Ewa Izgarszew pracowała w Regionie Mazowsze, była redaktorem technicznym w „Niezależności” i „Afiszu”.

13 grudnia zaczął się od akcji. Siostra dostała ściśle wytyczne, co należy robić w takiej sytuacji – miała skontaktować się z Regionem bądź udać się

do Ursusa<sup>1</sup>. Podjechaliśmy więc pod Region na Mokotowską. Siostra weszła do środka, a ja wraz z kolegą z Transbudu, członkiem KPN, stanęliśmy z opaskami na rękawach jako prowizoryczna straż zewnętrzna. Po półtorej godziny siostra kazała mi wejść do środka, bo otrzymała polecenie od swojego przełożonego, by wynieść składopis IBM. Taka maszyna kosztowała około 15 tys. dolarów. Umożliwiała łamanie kolumnowe oraz zmiany czcionki. W Polsce były wówczas tylko cztery takie maszyny.

Wyniosłem maszynę<sup>2</sup>, po czym zatrzymałem na opaskę małego fiata, w którym ulokowałem siostrę z maszyną. Tym maluchem z wypłoszonym kierowcą udała się do domu, na ulicę Jana Młota. Maszyna została umieszczona u pani Teresy Waclawek, naszej sąsiadki i pracownicy Polskiego Radia. Nawiasem mówiąc, na wyniesionych przez nią z pracy matrycach białkowych (w sumie około 10–20 tys.) mogła drukować – i drukowała – cała Polska.

Po wyekspediowaniu siostry udałem się na Warszawę Główną-Towarową przy ulicy Ordon, gdzie dzięki kolegom kolejarzom mogłem zadzwonić do Gdańska. Był to jedyny dostępny działający telefon. Dowiedziałem się o aresztowaniu „krajówki”<sup>3</sup>. Przy okazji przekonałem się, co oznacza „militaryzacja” mojego zakładu na Okęciu – zobaczyłem w bramie tego samego, tyle że wystraszonego, dozorcę.

Około godziny 14 ponownie pojechałem taksówką (opaska służyła mi za przepustkę, ludzie ustępowali w kolejce) pod Region, gdzie odbywało się już „wymiatanie”. W Regionie było ZOMO i jakieś specgrupy. „Wymiatano” Mokotowską w kierunku placu Zbawiciela. Udałem się więc na Politechnikę, gdzie jednemu ze strajkujących zrelacjonowałem rozmowę z Gdańskiem.

Spod Politechniki około 18 pojechałem pod Hutę Warszawa<sup>4</sup>. Zgromadziło się tam wiele osób w podobnej jak my sytuacji. Huta pracowała na pół gwizdka (niedziela) i wszyscy goście<sup>5</sup> chcieli doczekać jutra. Zaproponowano mi, bym się przebrał w kufajkę i został na terenie huty. Nie za bardzo mi się to jednak uśmiechało.

---

<sup>1</sup> Mowa o Zakładach Mechanicznych „Ursus”.

<sup>2</sup> Siedziba Regionu nie była wówczas obstawiona. Piotr Izgarszew widział tam wielu korespondentów zagranicznych.

<sup>3</sup> Chodzi o Komisję Krajową NSZZ „Solidarność”. Większość członków KK została internowana w nocy z 12 na 13 XII 1981 r., po zakończeniu posiedzenia w Gdańsku.

<sup>4</sup> W hucie strajkowała wówczas cała załoga.

<sup>5</sup> Mowa o osobach spoza huty, które przyszły tam na wieść o wprowadzeniu stanu wojennego.

W poniedziałek wcześniej rano, zaopatrzeni w kilka kartonów papierosów, pojechałem do pracy. Z Janem Skworodą zaczęliśmy blokować betonem bramy. Kiedy przyszło więcej osób, zwołaliśmy zebranie ogólne załogi. Nawiązaliśmy kontakt z Przedsiębiorstwem Spedycji Krajowej przy ulicy Orдона. Nie bardzo wiedzieliśmy, co dalej robić. Choć większość z nas nie bała się czołgów (ze względu na profil zakładu chłopaki były w większości po wojskach pancernych), zdecydowaliśmy, że my staniemy, jeśli staną większe zakłady<sup>6</sup>.

Następnie pojechałem taksówką (stać mnie było na to, bo na początku stanu wojennego matka rozdała nam w domu pieniądze zgromadzone na ślub siostry) pod Zakłady Mechaniczne „Ursus”. Podbiegłem do płotu. Zobaczyłem, że biegnie za mną milicja i straż przemysłowa. Uciekając, dopadłem zawracającej taksówki. Podjechałem nią do „Świerczewskiego”<sup>7</sup>. Szykowano się tam do zebrania załogi (przewodniczącego wprowadzono na teren zakładu przejściem podziemnym).

Stamtąd udałem się na Uniwersytet – gdzie jak gdzie, ale tam powinno się coś dziać. Zapytałem człowieka przy bramie, gdzie jest jakaś akcja. „Idź pan na Wydział Historii, tam jest zebranie” – odpowiedział. Zostałem tam około 30 osób. Pamiętam, że jakiś chłopak wstał i powiedział: „Panowie, macie mówić pod zakładami, że cała Warszawa strajkuje i czeka tylko na was. Ogłaszam się dyktatorem stanu wojny. He-niek, ty idziesz pod hutę, Jacek – ty tam...”. Bardzo mnie wtedy rozba-wili. Następnie poszedłem do Komisji Zakładowej „Solidarności” UW, gdzie przepisywano ulotki – po sześć kopii na maszynie. Była tam ko-bieta z małym dzieckiem. Zapytałem, dlaczego przyszła na strajk z dziec-kiem. „A bo mój mąż to taki ciamajda. Pokłóciłam się z nim i dlatego zabrałam dziecko” – odparła. Nagle ktoś krzyknął, że nadjeżdżają sko-ty. Zaczęliśmy się więc pośpiesznie ewakuować, zabierając ze sobą maszyny. Podszedłem wtedy do wiceprzewodniczącego Komisji Za-kładowej „Solidarności” i powiedziałem mu, że mam majątek regionu – maszynę. Dał mi zaraz kilku chłopaków i pojechaliśmy po nią żukiem. Wtedy poznałem między innymi Adama Karwowskiego, który wraz z Waldemarem Wysokińskim zaopatrywał mnie później w bibułę do kol-

---

<sup>6</sup> Wg materiałów zebranych przez MSW, strajkowała cała baza samochodowa Transbudu-Warszawa przy ul. Jana Olbrachta.

<sup>7</sup> W Fabryce Wyróbów Precyzyjnych im. gen. Karola Świerczewskiego strajkowało 500 osób na 3000 zatrudnionych.

portażu: „Tygodnik Mazowsze”<sup>8</sup>, „Wolę”<sup>9</sup>, „KOS-a”<sup>10</sup>. Kolportażem zajmowałem się do 1983 r.

Wróć do tematu maszyny. Pojechaliśmy z moją siostrą i Bartkiem z „Krengu” do lokalu na Kaniowską. Wszedłem tam pierwszy, żeby w razie „obstawienia” lokalu ochronić siostrę. Była zdecydowanie cenniejsza niż ja, gdyż jako jedyna umiała obsługiwać maszynę. Ewa wróciła następnego dnia z zapaleniem płuc, bo przygotowywali matryce i drukowali ulotki gdzieś nad Wisłą. Potem dostarczyłem Bartkowi taki „manual” sporządzony przez siostrę, bo przecież żadnej innej instrukcji nie było. Maszynę pierwotnie przejął „Krag”, ale potem upomniała się o nią Helena Łuczywo<sup>11</sup>. Ten składopis jeszcze długo służył, udoskonalany – o czym później wspominał senator Romaszewski – przez domorosłych informatyków.

Na początku 1982 r. zwoływaliśmy zebrania zakładowe. Marek, przewodniczący z Oddziału III (mieszkał przy Hali Mirowskiej), był kierowcą i prowadził zebrania w autobusie, jeżdżąc po mieście (czasami przejeżdżaliśmy koło pałacu Mostowskich<sup>12</sup>, co nas bardzo bawiło). Podczas głosowania nie podnosiliśmy rąk w górę, lecz wyciągaliśmy je w bok, by nie wzbudzać podejrzeń.

W ramach działalności związkowej zacząłem spotykać się z ludźmi z miasta, z którymi pracowało się lepiej niż z tymi od nas z zakładu. Byli bardziej zdyscyplinowani, wiedzieli, czego chcą. W zakładzie było inaczej, musieliśmy ludzi ciągle przekonywać. Bartek z „Krengu” poznał mnie z Januszem Ramotowskim „Przemem”, przez którego trafiłem do lokalu przy ulicy Reymonta 21, do Elżbiety i Jurka Zielińskich. Tam zaprzyjaźniłem się między innymi z Grzegorzem Jaczyńskim. Gospodarze działali w opozycji jeszcze od czasów korowskich. Grzegorz Jaczyński, Janusz Ramotowski i ja działaliśmy od 1982 r. w sekcji technicznej Grup Specjalnych. Potem Ramotowski został przydzielony do przerzucania sprzętu – na przykład sprzętu poligraficznego z zagranicy – w ramach grupy „Armenia”<sup>13</sup>, a w 1984 r.

---

<sup>8</sup> Zob. relacja Dariusza Boguskiego, *Pół roku bez brody*, przyp. 13.

<sup>9</sup> „Wola” – tygodnik wydawany w latach 1982–1989 przez Międzyzakładowy Komitet Koordynacyjny w Warszawie.

<sup>10</sup> „KOS” – biuletyn Komitetu Oporu Społecznego. Początkowo wychodził jako tygodnik, później jako dwutygodnik. Pierwsze numery były wydawane przez „Krag”, następne – przez „Wydawnictwo Społeczne-KOS”.

<sup>11</sup> Helena Łuczywo razem z Joanną Szczęsną i Anną Bikont organizowała „Tygodnik Mazowsze” (pierwszy numer ukazał się w lutym 1982 r.).

<sup>12</sup> Pałac Mostowskich – siedziba Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej.

<sup>13</sup> „Armenia” – struktura utworzona po 13 XII 1981 r. przy Regionie Mazowsze do koordynowania prac konspiracyjnych.

wyemigrował do Francji. SB namierzyła mieszkanie miesiąc po jego wyjeździe. Podobno przerwany przejął po nim Jacek Merkel.

Sam pomysł powołania Grup Specjalnych pojawił się przy okazji przygotowań do strajku generalnego w 1982 r. Mieliśmy wtedy przygotować się do odcięcia energii w zakładach i zablokowania łączności, by w ten sposób ograniczyć działania władz i dać działaczom czas na rozwinięcie akcji strajkowej. Nie potrafię powiedzieć, od kogo wyszła ta idea, może od Bujaka. Ja byłem wtedy w sekcji technicznej. Podlegał mi magazyn na ulicy Gdańskiej, ostatni dom po lewej stronie, należący do pana Małeckiego. Zgromadziliśmy tam 2 m<sup>3</sup> materiałów, 200 naboji do czaka<sup>14</sup>, jakieś smrody<sup>15</sup>, mundury milicyjne (sam nie wiem po co), kwas pikrynowy, trotyl, odczynniki chemiczne, granaty samozapalające, 200 sztuk RMG-65 (ręczne miotacze gazowe) – jakieś popłuczyny poprodukcyjne, części do „gadałek”<sup>16</sup>. Zbieraliśmy to od 13 grudnia, tak przy okazji. Myślę, iż „góra” nawet nie wiedziała, co my tam mamy. Liczyliśmy się z tym, że komuniści użyją przemocy i wtedy nam się to przyda.

Odkąd zaczęliśmy działać (początek 1982 r.), mówiło się o Grupach Oporu czy Grupach Specjalnych działających na zasadzie podziemnego wojska: nie dyskutować, tylko wykonywać rozkazy. Wtedy ideologia nie miała znaczenia. Był wspólny wróg. Rozmawiałem wówczas z osobami, z którymi wcześniej nie znalazłbym wspólnego języka – na przykład z „nawiedzonym” Józiem z Otwocka. Określaliśmy siebie jako „osiemnasty” garnitur (wszystkich już zgarnęli, tylko my zostaliśmy). Z bardziej znanych działaczy miałem kontakt z przewodniczącym „Solidarności” Transbudu Jerzym Dobrowolskim<sup>17</sup>, którego przeżywałem „Krętaczem” ze względu na jego skrytość. Myśl o konieczności zorganizowania takiej zdyscyplinowanej struktury nasunęła mi się 1 maja 1982 r., gdy chodziłem po mieście z ulotkami. Towarzyszyła mi wówczas tylko dziewczyna z mojego bloku, nieżyjąca już Monika Giemza.

---

<sup>14</sup> Czak – popularna nazwa pistoletu polskiej produkcji P-64, na początku lat 80. używanego powszechnie przez MO.

<sup>15</sup> Substancje chemiczne o wyjątkowo nieprzyjemnym zapachu. Używane np. do „zasmradzania” mieszkań pracowników SB lub szczególnie wysługujących się władzom dziennikarzy.

<sup>16</sup> Mowa o urządzeniach do odtwarzania audycji i odezwo, składających się z magnetofonu i głośników o dużej mocy.

<sup>17</sup> Piotr Izgarszew ukrywał się u Jerzego Dobrowolskiego w 1983 r.

Mój udział w Grupach Oporu zaczął się od współpracy z Januszem Ramotowskim i Grzegorzem Jaczyńskim. Stanęliśmy na czele sekcji technicznej tych grup. Z żelastwa przemycanego z Huty Warszawa robiliśmy kolce. Sztance były przygotowywane na dalekim Targówku. Blachy odbieraliśmy samochodami warszawskiego Transbudu bezpośrednio z Huty Warszawa lub z podmokłej łąki za hutą, przy torach kolejowych.

Opieranie się na strukturach zakładowych przy organizowaniu podziemia było błędem. Po pierwsze potrzebna była dobra organizacja kadrowa. Czasami bardziej się opłacało załatwić coś ze zwykłymi złodziejami, gdzie układ był prosty: płacisz – otrzymujesz, niż ze strukturami zakładowymi, gdzie za dużo było różnych „ale”. Poza tym nie było dyscypliny. Na przykład kiedy rzuciłem hasło, by zbierać butelki (robiliśmy butelki samozapalające), zebrano raptem kilka siatek. Na szczęście znalazł się wśród nas jakiś chomik, który miał ich kilkaset. Podobnie było z paliwem czy chloranem.

Początkowo przygotowywaliśmy się nie tylko do strajku, ale także do walk ulicznych, stąd na przykład pomysł, by robić kolce (wzorzec zaczerpnęliśmy z Muzeum Narodowego) w celu zablokowania ruchu samochodowego. Przygotowując się w 1982 r. do rocznicy porozumień sierpniowych, zastanawialiśmy się, co my możemy zrobić. Pewną inspiracją była dla mnie książka wydana przez WIH im. Wandy Wasilewskiej o metodach stosowanych przez Gwardię Ludową. (Podczas rewizji w 1983 r. funkcjonariusze SB długo deliberovali, czy mają mi tę książkę zabrać). Szczególnie interesujący był rozdział o materiałach wybuchowych.

Zalecenia odgórne co do produkcji i korzystania z materiałów wybuchowych wielokrotnie się zmieniały. Na początku mieliśmy powiedziane, że możemy używać do produkcji wszystkiego, czym dysponujemy. Potem jednak zakazano nam stosowania żeliwnych korpusów do materiałów wybuchowych własnej produkcji, które przy detonacji działały jak granat. Władze podziemnej „Solidarności” zdecydowanie hamowały nasze prace nad materiałami pirotechnicznymi, obawiając się oskarżenia o terroryzm. Środków bojowych mogliśmy użyć tylko w ekstremalnych sytuacjach, na przykład gdyby ZOMO zaczęło brutalnie bić demonstrantów.

Według mnie byliśmy w stanie wytrwać do pierwszego strzału. Mieliśmy przygotowane granaty zapalające, butelki samozapalające z benzyną<sup>18</sup> (we-

---

<sup>18</sup> Zapalnik stanowiła mieszanina chloranu, cukru i kwasu siarkowego.

dług receptury GL, receptura AK była dla nas za trudna). Z Januszem Ramotowskim próbowaliśmy produkować – wzorowane na starożytnych – proce.

Był taki moment, gdy myśleliśmy o użyciu broni – kiedy postrzelono Janka Naroźniaka. Broń zawsze można było jakoś zdobyć. Na przykład koledzy ojca Janusza Ramotowskiego deklarowali, że bez trudu odnajdą broń zachonikowaną przed kilkudziesięciu laty. Oczywiście to mogła być tylko legenda. Ostatecznie mogliśmy obrobić jakiś magazyn LWP. Miałem zresztą taką grupę maniaków militariów. Pamiętam, że kiedyś Teodorowi Klincewiczowi zaciął się pistolet gazowy, który nosił do obrony. Powiedziałem o tym jednemu z kolekcjonerów militariów, Piotrkowi, a ten przyniósł mi na spotkanie Waltera HP z nabojami. Te zainteresowania nie wyszły zresztą Piotrkowi na dobre. W latach dziewięćdziesiątych chciał sobie dorobić i sprzedał trochę materiału wybuchowego. Zrobiła się z tego wielka afera, opisywana przez prasę.

Z Teodorem Klincewiczem zacząłem się kontaktować jeszcze przed 31 sierpnia 1982 r. On był motorem wszystkiego. Wtedy odszedł od nas Janusz Ramotowski „Przemek”, bo dostał przydział do sławetnej „Armenii”, która odbierała transporty z zagranicy, na przykład sprzęt poligraficzny. Trzeba było te transporty jakoś osłaniać, na przykład używanymi ciuchami. Po zakończeniu akcji przekazywaliśmy te ciuchy początkowo do kościoła na Gdańskiej, ale potem kościół odmówił przyjmowania pomiętych ubrań. Staraliśmy się zresztą nie korzystać z takich miejsc jak kościół, ponieważ mogły być obserwowane. Poza tym, żeby ograniczyć ryzyko wpadki, przyjęliśmy zasadę, że na zewnątrz w naszym imieniu będzie występował tylko Janusz Ramotowski. Problem z ciuchami rozwiązał w końcu Waldemar Wysokiński z wydawnictwa „Krağ”: udostępnił nam puste mieszkanie na ulicy Marco Polo, gdzie mogliśmy je zmagazynować. W końcu rozdaliśmy te ubrania chłopakom z Grup Specjalnych i ich bliskim.

W pierwszej akcji w Grupach Specjalnych – gazowaniu konsumów milicyjnych – uczestniczyłem, wraz z Wiesławem Ostrorogiem, 7 lipca 1983 r. Pamiętam dobrze ten dzień, ponieważ zostałem wtedy zwolniony z Transbudu. Dyrektorowi powiedziałem tylko, że się spieszę, i poszedłem na akcję. Po akcji wróciłem do zakładu i odebrałem zwolnienie.

W Grupach Specjalnych działali ludzie z miasta (związani z Teosiem działacze NZS-u, młodzi robotnicy). Mnie w to wciągnęli Janusz Ramotowski i Grzegorz Jaczyński (przyboczny Teosia). Spotykaliśmy się u Jerzego i Elżbiety Zielińskich – to był nasz główny lokal (nigdy nie spalony), czynny non stop, przez który szły ciuchy, spotkania, radiostacje. Tam się spotykaliśmy, tam też piliśmy bimbler (nie kupowaliśmy legalnie alkoholu, żeby nie zasilać

kasy państwowej). Według mnie byliśmy najbardziej mobilną grupą. Trudno precyzyjnie określić jej liczebność – jedni odchodzili, inni przychodzili. Działaliśmy głównie na terenie Warszawy, choć odbyły się również dwie sesje wyjazdowe – chyba w Katowicach i we Wrocławiu. Chłopak, który je zorganizował, wpadł i zaawizował Tadeusza Kotarskiego jako donosiciela.

Grupy Specjalne miały być najbardziej zakonspirowanymi strukturami, do których powinni trafić wyselekcjonowani ludzie. Jeden z nich, mój adiutant Jacek, w 1995 r. dostał wyrok za pobicie (a trzeba przyznać, że bić się umiał). Miał do mnie pretensję, że nie nauczyliśmy go żyć. Zrobiłem dla niego wszystko, co mogłem. Załatwiłem mu pracę, ale okazał się nieodpowiedzialny. W celu finansowania działalności grup w 1983 r. zostało założone wydawnictwo „Rytm” (potrzebowaliśmy przecież pieniędzy na papier). W 1986 r. intensywnie pracowałem w Grupach Oporu i nie miałem czasu na normalną pracę zawodową, toteż przez trzy miesiące byłem na pensji podziemia – dostawałem średnią krajową.

Idąc na akcję zawieszania transparentu, nigdy nie mieliśmy przy sobie dokumentów. Dokumenty miał tylko obserwator. On wiedział, co kto ma trefnego w mieszkaniu, żeby w razie wpadki wyczyścić lokal. Miał też przy sobie na wszelki wypadek pieniądze, żeby ewentualnie móc objeżdżić tak-sówką wszystkie mieszkania. Obowiązywała też zasada, że w razie zatrzymania nie wolno podawać aresztującemu swojego nazwiska. Miało to spowolnić ich działanie i odwlec rewizję. Nie próbowaliśmy też ratować transparentu, czyli zdejmować go, gdy już został zauważony przez milicję. Rachunek był bowiem prosty: w razie zatrzymania kolegium wynosiło trzy średnie krajowe pensje, a transparent kosztował jedną.

Czasami dostawaliśmy ciekawe informacje. Na przykład przed pielgrzymką papieża w 1987 r. od jednego z naszych kolegów, który brał udział w akcjach, dowiedzieliśmy się, że w jednym z zakładów na zamówienie MSW robią koniczynki, którymi prawdopodobnie będą oznaczeni tajniacy. To się zresztą potwierdziło, ale mężczyzna niosący kije do naszego transparentu nie uważał podczas odprawy i myślał, że koniczynki ma kościelna służba porządkowa. Kiedy więc jakiś facet z koniczynką w klapie chciał mu odebrać kije, wyrwał mu je ze słowami: „Co ty, swoim będziesz zabierał?”.

Wpadłem dwa razy. W 1983 r. aresztowano mnie w zakładzie Ponar-Awia. Było to tuż po demonstracji pierwszomajowej, podczas której zostałem dotkliwie pobity. Pogrzeb Przemyska, 19 maja, przesiedziałem w areszcie. Następnego dnia zostałem zwolniony. Przewieźli mnie najpierw na Rakowiecką, potem do pałacu Mostowskich, a potem znów na Rako-

wiecką i w końcu puścili. Nie mieli dowodów, a ja im nic nie powiedziałem. Znaleźli przy mnie tylko *Poradnik pirotechnika-antykomunisty*. Próbowali mnie powiązać ze sprawą Visa<sup>19</sup>. Zrobili mi rewizję w mieszkaniu przy Jana Młota i na Gdańskiej. Aż dziw, że nie wpadłem, bo na Gdańskiej stała na szafie torba wypełniona nabojami do czaka, którą miałem zanieść do magazynu – ale jej nie znaleźli. To było moje pierwsze aresztowanie. Tak jak do „Solidarności”, tak i do tego byłem przygotowany. Janusz Ramotowski mi powiedział: „Jak cię drapną, to się nie przejmuj światem zewnętrznym, bo na wolności mają lepiej niż ty”, a poza tym pomagała mi piosenka Kelusa: „Bo nie tyle ważne – kiedy, ale jaki wyjdę stąd”. Spodziewałem się zresztą bardziej finezyjnych przesłuchań. Przebiegały mniej więcej tak: „Baczość, pod ścianę. Co pan ma do powiedzenia? – Gówno. – [z uśmiechem] Proszę siadać”. I od nowa to samo. Zmieniali się co 45 minut (miałem przy sobie zegarek). Czasami próbowali bardziej subtelnych rozmów, na przykład jeden z nich zaczął od tego, że w żadnym kraju policja polityczna nie jest lubiana. Zgasiłem go: „Czy chce pan powiedzieć, że społeczeństwo radzieckie nie lubi KGB?”.

Ciekawie zareagowała na rewizję moja babcia Anna Izgarszew, mianowicie zapytała funkcjonariuszy, którzy do niej przyszli: „Czy panowie jesteście z tych, co w hełmach, z pałami biją młodzież?”. „Nie jesteśmy zomowcami” – odparli. Babcia na to: „A, to jesteście ubowcami, ale to jeszcze gorsza swolocz”. Babcia (wtedy już ponadsiemdziesięcioletnia) prowadziła punkt żywnościowy dla podziemia – przechowywała około pół tony jedzenia dla osób ukrywających się, między innymi z wydawnictwa „Krağ”.

Pomagała mi również moja ciocia Kazimiera Kamińska (od 1979 r. członek KPN), mieszkająca przy ulicy 11 Listopada. (Podczas okupacji prowadziła na 11 Listopada kiosk, który był punktem łącznikowym dla AK). Dostawałem od niej strzykawki na akcje antykolaboracyjne. Przetrzyzymałem też u niej granaty samozapalające. Od chwili wprowadzenia stanu wojennego nie zjadła ani kawałka mięsa, swój przydział kartkowy oddawała do Komitetu Prymasowskiego.

Próbowali mną straszyć przesłuchiwanym ludzi z Visa, na przykład Wiesława Góreckiego „Maurycygo”. Wiesława złamali – trzymali go w celi z kryminalistami. Członkowie Visa nie byli najlepiej przygotowani do aresz-

---

<sup>19</sup> Vis – organizacja konspiracyjna dziewięciu południowopraskich zakładów; należały do niej m.in. Zakłady Wytwórcze Urządzeń Telefonicznych. Nazwa organizacji prawdopodobnie pochodzi od tytułu pisma „Vis. Spojrzenie na”. Członkowie tej organizacji zostali aresztowani w 1983 r. Wyszli z więzienia na mocy ustawy amnestyjnej w 1984 r.

towania. Kiedy postawili im zarzuty i zagrozili wyrokiem od dziesięciu lat więzienia do kary śmierci włącznie, zaczęli się tłumaczyć i zeznawać. Złamali wszystkich oprócz czterech. Najlepszy był Józio z Otwocka. Zaklinał się, że jak siedział wieczorem na balkonie, to latającym spodkiem przyleciały do niego ufoludki i dały mu bibułę, każąc jej pilnować, bo od tego miały zależeć losy świata – więc pilnował. Jakoś nie odważyli się postawić go przed sądem. Józio wiedział, o co walczy. Był głęboko wierzącym katolikiem, dla niego komuna była wcieleniem szatana. Wspaniale zachowała się też Monika Giemza. Za to inni sypali. Na szczęście mało o mnie wiedzieli. U nas w Grupach Specjalnych i Grupach Oporu obowiązywała zasada: jak wpadłeś, to morda w kubeł, nie utrudniaj adwokatowi zadania. Na odprawach mówiłem chłopakom: „Prędzej czy później wpadniemy, ale to będzie kolejny etap naszej walki. To jest nasza wspólna sprawa”.

Po tym aresztowaniu Janusz Ramotowski kazał mi się ukrywać (zdaje się, że zrobił to bez konsultacji z Teodorem Klincewiczem), co też uczyniłem. Zmieniłem wygląd, przenieśliem się do innej dzielnicy, łączność z domem utrzymywałem okrężną drogą. W podziemiu nauczyłem się poligrafii, co mi zresztą procentuje do dzisiejszego dnia. Miałem pracować w poligrafii, ale nic z niej nie wyszło. Po kilku miesiącach stwierdziłem, że za drogo kosztuje podziemie (wyplacało mi wtedy miesięczną pensję).

13 grudnia 1983 r., po rozmowie z Januszem Ramotowskim, postanowiłem „ujawnić się” i skorzystać z ustawy amnestyjnej. W związku z tym w żoliborskiej prokuraturze rejonowej złożyłem zeznanie, przekonsultowane z podziemnym adwokatem. Przyznałem się do tego, o czym już wiedzieli: kolportażu, udziału w demonstracjach i ich organizowania. Prokurator – młody chłopak, zastępca prokuratora rejonowego – dla formalności zapytał mnie, czy podam dane swoich kolegów: „Z kim pan to robił, to pan oczywiście nie chce powiedzieć. – Oczywiście. – No tak, bo nikt by się nie zgłosił”.

W 1983 r. zaczęli już „wykańczać” Grupy Specjalne, wpadła grupa Andrzeja Niedka „Alka”, organizatora wielu akcji protestacyjnych na mieście, na przykład tak zwanych gadałek. Wcześniej planowaliśmy różne akcje. Ja wpadłem na pomysł malowania haseł na tramwajach. Mieliśmy to robić nocą w zajezdni przy hucie. Ludzie z zajezdni uważali, że to się mogło udać, bo tam się nikt nie plątał. Mieliśmy już wszystko dograne – samochody, mieszkania odskokowe. W ostatniej chwili „Alek” odwołał akcję, ponieważ uznał ją za zbyt niebezpieczną.

Po ujawnieniu zająłem się polografią – prowadziłem drukarnię dla KPN – i nadal działałem w Grupach Oporu. W 1986 r. wraz z kolegami, którzy

podobnie jak ja byli już znani SB, postanowiliśmy trochę pomóc w ulotkowaniu. Udaliśmy się więc na spotkanie z Teosem Klincewiczem. Bardzo się z naszego pomysłu ucieszył. Polecił nam – jako pierwsze zadanie – ukraść głośniki z ogródka jordanowskiego przy ulicy Darwina i z lodowiska przy Podleśnej, co też uczyniliśmy. Później zajęliśmy się rozrzucaniem ulotek. Teos zaplanował też zawieszenie na mieście transparentu. Zrobiliśmy więc taki pierwszy transparent, coś w rodzaju wzorcowej konstrukcji – składanej, owiniętej żyłką z lontami – wewnątrz której były ukryte ulotki. Rozkładaliśmy ją tuż przed akcją na dachu, podpalaliśmy lonty i już z ulicy obserwowaliśmy, jak rozwija się transparent i wysypują z niego ulotki. Rozwiesiliśmy 56 transparentów o łącznej powierzchni 1200 m<sup>2</sup>. Standardowy transparent miał wymiary 3 x 7–8 m. Rekordowy czas wiszenia – 1 godzina 45 minut, rekordowa liczba rozrzuconych ulotek – 45 tys. (zostały wybierane w 45 minut). W każdej akcji brało udział od dwóch do dwunastu osób.

Drugi raz zostałem aresztowany w marcu 1987 r. w zajezdni pod hutą, kiedy malowałem na tramwajach hasła: „Niech żyje Solidarność” i „Podwyżkom stop”. Mieliśmy to robić w kilka grup, żeby tramwaje jak najdłużej jeździły z tymi napisami. W sumie udało mi się „ozdobić” napisami 73 tramwaje. Na akcję poszedłem z nową grupą w roli obserwatora (moim starym grupom przydzieliłem inne pętle). O godzinie 14, wyznaczającej początek akcji w Warszawie, na pętli nie było tramwajów. Odesłałem chłopaków w bezpieczniejsze miejsca, a sam zdecydowałem się malować z ręki w tłumie. Kiedy dopadło mnie dwóch nadzorców ruchu MZK, użyłem gazu. Uciekłem im, ale potem mnie złapali. Notabene jednemu z tych, który mnie złapał, od początku stanu wojennego dostarczałem „Syrenkę”<sup>20</sup> – pismo warszawskiego MZK, wydawane przez Janka Naroźniaka. Dostałem wyrok półtora roku ograniczenia wolności za posiadanie broni (gazu) i kolegium<sup>21</sup> za 73 pomalowane tramwaje. Do sprawy miałem dozór milicyjny, który polegał na tym, że miałem w określone dni stawiać się na komendzie (zostawiałem wtedy bibułę na pobliskim przystanku). Ograniczenie wolności po sprawie polegało na potrącaniu mi jakiejś kwoty z pensji. Żeby zarobić na te potrącenia, podjąłem pracę jako dyspozytor w Transmleczu na Biezuńskiej<sup>22</sup>.

---

<sup>20</sup> Pismo koncentrowało się głównie na problemach zakładowych. Ukazywało się od stycznia 1982 r. W połowie 1982 r. zostało zawieszono i wznowione w sierpniu 1983 r.

<sup>21</sup> W ramach kolegium Piotr Izgarszew musiał zapłacić grzywnę i nawiązkę na PCK.

<sup>22</sup> Piotrowi Izgarszewowi zwrócono potrącone kwoty z funduszy podziemia.

Równolegle prowadziłem w podziemiu dwie drukarnie (jedną dla KPN) i organizowałem akcje protestacyjne na mieście. Myślałem, że będę miał trochę odpoczynku, ale się myliłem.

Ostatnie zadanie dostaliśmy od Teosia w 1988 r., podczas strajków. Mieliśmy rozpracować koszary ZOMO na Gołędzinowie – układ przestrzenny i komunikacyjny i sposoby zablokowania (również materiałowo) możliwości wyjazdu – oraz materiał na trzy transparenty.

Po 1989 r. robiliśmy „eksport rewolucji”: wysyłaliśmy sprzęt do krajów tak zwanej demokracji ludowej, przede wszystkim na Litwę, Ukrainę, Białoruś i do Mongolii. Odbywało się to za przyzwoleniem Regionu Mazowsze, w ramach działalności IDEE, kierowanego przez Irenę Lasotę. Szacuję, że przez moje ręce przeszło wtedy około 200 maszyn drukarskich.

Już jako ciekawostkę dodam, iż w 2001 r. zostałem odznaczony – między innymi z Maciejem Jankowskim, Bogdanem Borusewiczem, Markiem Kmicikiem i Marcinem Maszewskim – orderem „Dziesięciolecia demokracji Mongolii”. Jest to moje jedyne odznaczenie.

*Krzysztof Madej*